

go ogniska, nad oklaski i kwiaty, jakie jej do stóp ślano.

Los Ludwika nie był tak świetny, ale i jemu z początku szczęście się uśmiechało. Wkrótce po odjeździe siostry poślubił urodziwą córkę jednego z paryskich fabrykantów, a posag, jaki za nią otrzymał, ogromnie mu się przydał. Żona była dlań pod każdym względem wierną i dobrą pomocnicą i towarzyszką, więc młoda para patrzyła spokojnie w przyszłość. Liczyli prawdopodobnie oboje na to, że interesy będą szły coraz lepiej, że więc los dzieci będzie zapewniony.

Aby zawiązać nowe stosunki, wyjechał Hanier do Brukseli i od tego czasu gwiazda jego szczęścia poczęła błędnąć. Poczęły raz po raz spadać nań drobne niepowodzenia, małe same w sobie, ale jednak znaczne, gdy się je razem wszystkie wzięło pod uwagę. Po dwóch latach zaprzestał Hanier walki; pieniądze, jakie miał, stracił, postanowił więc szukać szczęścia w Stanach Zjednoczonych. Sprzedał resztki swojej fabryki jak mógł najlepiej, wsiadł w Hawrze na okręt i po dziesięciodniowej podróży wylądował w Castle Garden.

Napotkał tu na trudności, na jakie napotkać musi każdy obcokrajowiec, nie znający ani języka, ani zwyczajów nowej ojczyzny. Wiedział wprawdzie, że w Nowym Yorku fabryka likierów znakomicie by się opłacała, ale byłaby ogromnie kosztowna, on zaś nie miał ani pieniędzy, ani kredytu. Spodrzęgił się wreszcie, że o samodzielnym interesie nie ma co marzyć, chwycił się ostatejnej deski ratunku, mianowicie szukania posady w jednym z większych domów, gdzieby swoje fachowe zdolności mógł zużytkować. Ogłosił się więc w dziennikach, że przyjmie posadę piwnicznego w większym handlu. Inserat poskutkował, bo już na drugi dzień wezwano go do jednego z prywatnych domów, gdzie otrzymał posadę.

Zaangażowany został do bogatej rodziny, nazwiskiem Desmond. Pan domu, Irlandczyk z urodzenia, jednak obywatel Stanów Zjednoczonych, brał był udział w wojnie, był członkiem kilku politycznych stowarzyszeń w Nowym Yorku i żył teraz ze swej renty. Co do jego żony, Francuzki z urodzenia, wyrażał się Hanier w tajemniczy dość sposób; mówił, że nie jest mu ona zupełnie obcą, bo zajmowała się jego siostrą podczas jej studiów w konserwatorium. Przypomniała go sobie, przeczytawszy jego nazwisko w gazecie i natychmiast po niego posłała. Przyrzeczono mu pokazną wcale pensję, a kapitan Desmond wynajął w pobliżu mieszkanie dla jego rodziny.

Śczęście więc uśmiechnęło się Hanier'om na nowo. Nie opływali wprawdzie w dostatki, jak dawniej, ale też nie potrzebowali robić długów, a nawet zdołali rokrocznie odkładać do kasy skromne oszczędności. Hanier spełniał swoje obowiązki z radością i był zwłaszcza wiernie oddany pani; pani zaś okazywała mu swą łaskę i przyjaźń i corocznie na Boże Narodzenie posyłała mu ładny podarek. Życie ich płynęło więc spokojnie i błogo.

Zasza jednak w końcu zmiana i to nagle. Czy Ludwik został wydalony, czy też sam dobrowolnie porzucił służbę, o tem biedna wdowa nic pewnego nie wiedziała. Prawdopodobnie przyszło między nim a jowialnym dosyć kapitanem do ostrej wymiany słów, skutkiem której było opuszczenie służby przez Hanier'a. Co jednak mogło być przyczyną zajścia, o tem Hanier nigdy nie wspominał.

Za pieniądze, jakie miał z oszczędności i te, które mu wręczył przy rozstaniu kapitan Desmond, wynajął Hanier ów stary dom przy ulicy Wolności, gdzie od tego czasu mieszkał. W dzielnicy tej osiedliło się kilkadziesiąt rodzin francuskich, które stanowiły dla pocziwego Haniera stałą kłentelę. Założył on mianowicie sklepik i zaopatrywał go w likiery i wina, jakie najbardziej przypadły do smaku jego klientom. W piwnicy zaś urządził sobie fabrykę likierów na małą skalę. W ten sposób przez pracę i energię doprowadził w ciągu kilku lat do rozkwitu swego interesu, przyczem dzielnice mu pomagała żona, chociaż miała dosyć pracy z wychowaniem sześciorga dzieci. Oprócz tego stołowało się u nich kilkunastu francuskich robotników.

Winiarnia miała wogóle bardzo dobrą reputację. Hanier starał się przede wszystkim o to, aby do jego lokalu nie uczęszczali pospolici pijacy, uprawiający zazwyczaj jakie zakazane rzemiosło. Więc też policja miała o nim i o jego gospodzie jak najlepsze mniemanie. Policja miała tam tylko wtedy coś do roboty, jeżeli chodziło o obronę Haniera przed złośliwością ulicznych i rzeźmieszków, którzy sądzą, że Francuzowi można bezkarnie grać na nosie.

— To jest właśnie ten gatunek ludzi — prze-

rwał inspektor — który przede wszystkim należałoby posadzić o morderstwo. Zagrozili Hanier'owi dlatego, że ich nie chciał mieć u siebie, więc połączyli się, aby się za to zemścić.

— Tak, ale dla tak błahych powodów nie zwykli się oni dopuszczać morderstwa — zauważył Ślimak.

— Mogli wcale nie mieć morderczych zamiarów, kiedy się wdarli do gospody. Albo jeżeli taka lekkomyślna młodzież w pijanym, podnieconym stanie napotkał na najmniejszą przeszkodę, a ma broń w ręku, to nieszczeście może zajść bardzo łatwo. Ale prozę dalej!

— Jedną okoliczność zdaje się przemawiać za pańskim przypuszczeniem — ciągnął dalej Ślimak. — Mianowicie wczoraj wieczorem około godziny dziewiętej przyszło do gospody Hanier'a trzech nieznajomych, którzy chcieli obrabować kase. Hanier ich spłoszył. Czyżby oni wrócili i spłądowali mu sklep?

— A pani Hanier mogłaby ich rozpoznać? — Nie, jej nie było w domu podczas w gospodzie. Tylko dwaj Francuzi, którzy się u Hanier'ów sto-



...Ślimak usiadł wygodnie w fotelu i zaczął opowiadać to, co przed chwilą słyszał...

łują, widzieli drabów i opisali, jak wyglądają. Rysepisy zostały już roztelegrowane

— Może to nas do czegoś zaprowadzi — rzekł inspektor i dodał zaraz:

— Nie zauważył pan nic innego?

— Absolutnie nie! Tylko, jak stałem przed gospodą i obserwowałem grupy ludzi, zauważyłem mężczyznę i kobietę — albo raczej pewnego pana i pewną damę — którzy stali w tłumie i ze szczególnym zajęciem przypatrywali się gospodzie. Kobieta zwłaszcza była, jak mi się zdawało, silnie wzruszona. Odeszli jednak, zanim się mogłem ku nim zbliżyć, by usłyszeć ich rozmowę.

— Jakże oni wyglądali? — zapytał inspektor.

— Tacy byli potulani, że nie mogłem im się dobrać do przypatrzeć. Mężczyzna miał krzaczaste brwi i siwiejącą już brodę. Trzymał się prosto, a był dobrze zbudowany. Kobieta była od niego o dwadzieścia lat młodsza, bardzo piękna. Mogłbym ich nawet poznać.

Inspektor oparł brodę na dłoniach i patrzył przez chwilę zamyślony na kałamarz, stojący na biurku. Potem znów wyprosił się i zapytał:

— Znalazł pan jakie ślady w gospodzie?

— Znalazłem, ale bardzo mało znaczące. Drzwi były wysadzone z zawias, zamek był oderwany — co każe przypuszczać, że nie włamywacze tamtędy wchodzili. Szufłada była naturalnie pusta; pieniądze zabrano. Szczególna rzecz jednak, że wszystko w gospodzie było powywracane i poniszczone; dąliboż, można by sądzić, że tam nie byli złodzieje, ale że wpadło tam kilkunastu obłąkanych, którzy uciekli ze szpitala, albo też kilka dzikich małp, zbiegłych z klatek. Wszystko robione bez myśli i celu. Pieniądzy nie potrzebowali szukać, mieli je przecież pod nosem. Albo więc mieli zamiar wypłatać figla, albo też chcieli się zemścić na Hanierze. Ale to znów jest sprawa zagadkowa, bo na przykład spłądowali mu sklep, aby mu figla wypłatać, a potem go zabili. Wygląda to tak, jakby się kłus brodę ostrzygło, zanim mu się zetnie szyja. Morderstwo zaś było — zdaje mi się — uplanowane. Złoczyńcy mogli przecież spokojnie uciec — oni natomiast zwabili poprostu Hanier'a, aby zeszedł na dół i zastrzelili go. Ta sprawa to jakby rebus, którego nie mogę zrozumieć. Bo: kto chciał ukraść pieniądze, ten nie niszczył sklepu; kto by

zależał spłądować gospodę, tenby nie był zamordował właściciela. Albo więc podejrzenie na tych rzeźmieszków niema najmniejszej podstawy, co nie jest nieprawdopodobnem, albo też przyczyna morderstwa leży gdzieś indziej.

— Mianowicie? — zapytał inspektor, gdy Ślimak przerwał na chwilę.

— Mną przecież być ludzie wyższej sfery, którym zależało na tem, aby Haniera zgładzić ze świata. Hanier był członkiem kilku francuskich stowarzyszeń, które wprawdzie na pozór nie mają charakteru tajnych związków, ale kto wie? Może on był niewygodny dla naczelników tych stowarzyszeń, którzy wydali rozkaz, aby go usunąć z pomiędzy żyjących i w ten sposób go się pozbyć. Aby zaś usunąć podejrzenia, dokonali tego w sposób tak nieopty i nawet awanturniczy. Czy to nie rzuca pewnego światła na sprawę?

— Hm! A czy pan sądzi, że pani Hanier wie o tem, iż mąż jej miał zapatrywania socjalistyczne?

— Jestem prawie pewny — naturalnie, jeżeli sprawy tak stały, jak ja przypuszczam — że Hanier ani słówkiem jej o tem nie wspominał.

— Ale pan sądzi, że ten pan i owa dama, o których pan wspominał, umaczali rękę w tej sprawie?

— Nie chcę tego twierdzić, ale w takim wypadku jak obecne, nie należy spuszczać z oka najdrobniejszych szczegółów.

— Bez kwestii, ale fantazja często nam wyrządza psikusy. W naszej służbie nic nie jest tak pożyteczne, jak suche fakty i zdrowy, chłopski rozum. Przyczyn nie zawsze szukać trzeba, bo wiele rzeczy zawisło jedynie od chwili. Gdybyśmy przyjęli, że wszystko dzieje się równolegle do celu i zamiaru, łatwobyśmy poszli na fałszywe drogi. Ale dalej! Cóż pan znalazł w szynkowni? Prosiłbym o dokładne szczegóły.

Ślimak zaczął od początku. Opisał położenie domu i sam dom od zewnątrz, oraz miejsce katastrofy gromnie szczegółowo. Powtórzył wszystkie mowy, jakie słyszał i wyjaśnił nietylko to, co się odnosiło do rzeczy znanych, ale nawet niejedną drobnostkę na pozór bez znaczenia samą dla siebie, ważną jednak w zestawieniu z innymi faktami. Widocznie człowiek ten nie był nowicjuszem w swoim zawodzie. Zdawało się, że nic nie uszło jego uwagi. Kiedy skończył, inspektor skinął głową z zadowoleniem.

C. d. n.